

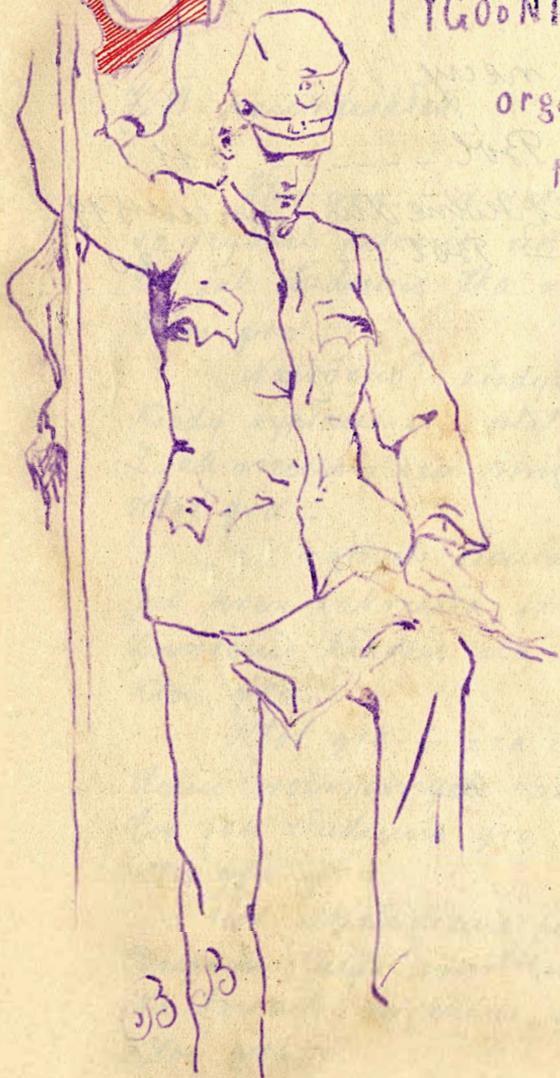
# WISSARYUSZ

TYGODNIK

organ. K.S.

pod Redakcją:

Feriksa i Promyka



Idzie z piosenką, ma w ustach  
 Piosenki, śmieje się, śmieje się  
 I śmieje, gdy i on śmieje się  
 Na noży, wio, i głowę.

Choć noc już zima, północ  
 I wszędzie pustka, wokół  
 On u siebie samotnie wędrowni  
 Bo, trawie śmie, wesoło —  
 B. A. Kuli.

O. N. C.

Spis rzeczy.

- Kwiat ostu - Pól ----- 511.  
Hejcie przedzą srokowe dui - Somicach 519.  
Z przedem - Pól ----- 520.

Б.Н.

13.)

# Кwiat Ostu.

(Wyciątki z pamiętnika Filarety r. 1909.)

7. VI. poniedziałek.

Ktoś gra... — w rąkach nigdzie kwiaty,  
Po rybackich pięknie ścota ścota skra...  
Coś jak zbudzenie tka w tonach sonaty  
Ktoś gra...

Напрóчу! — kiedy duszę mą ucieszę?  
Kiedy wypłaczę się otatunia tka  
I jak wieszczęty sen mię ukochasz...  
Ktoś gra...

Na rąbnych dźwiękach łócię drobne kropelki  
Jak kren zaktrepka, jak tzy, jak ródka,  
Zmówienie kładzie na pierś rieżat wielki...  
Ktoś gra...

Ktoś gra — z za zyczej srebrnej dźwięków kraty  
Uleci roznienogę rozniewa się mgła,  
Coś jak zbudzenie gra w tonach sonaty...  
Ktoś gra...

Coś jak zbudzenie po bańrionym cudzie  
Bexpamiztuego szmítku górnika tka  
Na tonach miękkich, na uleci wódzie  
Ktoś gra...

Gina, z przed oczu wyznarowane świąty  
Na szychbach niknie złota słońca skra  
W smutnych rękach białe więdną kwiaty  
Ktoś gra...

A potem siadła na kanapie,  
zastawiając oczy rękoma i długo... długo trza-  
ła z milczeniem... Pomiedzy palce zaczęły  
przeiskać się miękko, czyste try - tiumfione  
tkanie ostrzącego pierśią...

Nie mogłem powstrzymać rybuchu  
wzroku, które od dawna nurkotały w mnie...  
Nie wiem kiedy i jak znalazłem się przed  
nią, ująłem zimną jak lód rękę i przycis-  
nąłem do spalonych warg...

— Wybacz panu... Mary moja... —  
szepotałem gwałtownie — wybacz śmiałości...  
Dlaczego płaczesz?... Mów... ja też troich  
kiesić nie mogę...

Zapomniałem o obecności Koski, Heli,  
Olka, widziałem ją tylko przed sobą, jej try,  
smutek... Cóż mówił nie pamiętam... Dość,  
że myślałem jej wszystko, co działo się z duszą  
od czasu, kiedy ją poznałem... Spowiadałem się  
ze smych obaw, radości, walk wewnętrznych,  
ze swoich postanowień i cierpień... A ona  
stuchata blada jak płótno, reszta krwi  
spłynęła z twarzy...

Oczy ciarne wyraziły jakiś przestraszek  
salony, try zastęły na polickkach, .. drżała  
jak listek brzozy, trącony podmuchem  
jesiennego wiatru...

- mów, ... mów... coś słowo pocięty...  
Chciałem ci być przyjacielem... nie mogę...  
Oszukiwałem się długo, walczyłem ze sobą...  
Dziś widzę, że to ma darmo... Nie odrychaj  
mię od siebie... - Ty... ty moja Mary kochana!  
Milocata...

Drgnęły jej usta - chciała coś mówić, ale  
słowa jednego wypowiedzieć nie była zdolną...  
Patrzyła tylko na mnie oczyma pełnemi  
łez, które nową falą napłynęły do źrenic.

Wreszcie w końcu rzekła z tamanym głosem:

- ... I ja mam z tej samej ulepionej glina...  
i ja mam winna!.. Oboje z tamaliśmy sobie życie...  
Taka nasza służba dla Ojczyzny!.. Chcieliśmy  
pracować dla niej... zrealizujemy z drogi...

Tak. - zapomniałem o kole...

10. VI. wariatka.

Mówię ci ołowisk, który wiele w życiu  
błądził - w końcu wyrzutów sumie-

nie... że głos jakiś wewnętrzny ustawicznie wypomina mu propetyczne błędy, nie daje mu spokoju, wytchnienia, spędza sen z jego powiek, — aż w końcu popada w rozpaczę i ginie marnie...

Sumienie... Dziwną powagą ma ten wyraz w sobie: Przypominają mi się Erynie, greckie boginie zemsty... Długie, kosciste, w szare łachmany odziane... Na nagich rękach palątkuje wieniec jadowitych wężów... W ręku płonące pochodnie, którymś winnego smagają... Wstrętne maty!.. a przecie one jedynie tylko wzywają nad wypełnieniem Sprawiedliwości!.. One rostrząsają myśli ludzkie i karzą winnych...

Smuje mi się po głowie projekt obrazu, któryby ujął w realne kształty, mgliste pojęcia greckie...

Dziwne, jak wiele piękna i filozofii Starożytność w sobie zamknęła!... Tyle wieków a przecie pojęcia przez nią urobione zachowały się w swojej sile i stanowią niewyczerpane źródła do badań potomnych!...

11. VI. Piątek.

Spotkaniem ja idącą do miasta.

Sliczna... — ale taka bielutka, jak płatek  
jaśminu...

Popatrzyła na mnie, ukłoniła się  
i poszła dalej...

Nie... jakby mię odwień widywota.

Mary! żebyś ty wiedziała, ile ja  
nieszczęsny przepłakatem, ... żebyś ty wie-  
działa, co się każdego dnia w duszy mojej  
dzieje, — żebyś wiedziała, ile ja myśli  
niesprawiedliwych moim wytworzę  
w głowie, zatrzymam sobie niemi odwień  
każdy... żebyś wiedziała!..

O! — z pewnością nie patrzyłabyś  
na mnie tak zimno i nie odwracałabyś  
oczu tak przeko...

A przecieci wiesz, że cię Kocham, —  
i ja wiem, że ty mię Kochasz!.. Dlaczegoś  
taka chłodna, zamknięta w sobie? — Przecieci  
miłość — to nie zbrodnia, nie hanba,  
ani dla mnie, ani dla siebie!.. Dlaczego  
taka daleka?...

I ty ciężkie padają na duszę...

Znikła moja swoboda, wiara, ochota  
do życia... — znikły moje rojenia ukochane  
i próżno wyciągam ręce (ka ziemi) na niemi,  
wołam błagalnie: wróćcie się do mnie!...

Na próżno....

Nie wróci już...  
Odeszły... —

12. VI. Sobota.

Już kilka dni z rzędu mam  
szaloną ochotę do pisania pamiętnika  
i właśnie dlatego nie mam czasu. Uczę  
się ciągle, cały dzień, ale mimo tego  
czasem wpatruję się w jednostajne rzędy  
litererek ujęte smutne jej oczy, ale nie  
na mnie zwrócone, tylko gdzieś w dal...  
Łaska błyszczy pod powieką — tak wtedy —

Gyle kucid! — Dwie forecki —  
z religii i greki — zawisły nad moją  
głową — muszę się uczyć — a tak się nie chce!

Nieraz oderwę oczy od księżki  
i fale wspomnień uderzą moją... Dawno  
Ona!.. Olek mówił mi dzisiaj, żeby  
o niej starać się zapomnieć — Ja starać  
się o niej nie myślę, ale zapomnieć  
nie mogę... Teraz Oluśku jeszcze nie —  
może potem...

Gdy ją wczoraj spotkałem — przesunęło się przez myśl —

Czy to ta sama Mary, co trzy  
dni temu tuliła rękę w moich dłoniach,  
drżała jak listek i tak serdecznie

patrzyła na mnie. — A dzisiaj taka ob-  
jętka i zimna przeszedła obok? —

Tysiąc razy powtarzam sobie, że  
ona już inna, ale jakos'... nie mogę  
wierzyć... Kawosze dobra, kawosze szlachetna,  
kawosze moja kochana Mary! —

13. VII. Niedziela.

Wróciłem przed chwilą z kosc-  
ciola. Nie potrafię opisać wrażeń  
i myśli przebiegających się wtedy po  
-głowie... Tak miło mi było w kościółku,  
cichutką zacisznie — ludzi mało... tak  
jakos' jak nigdy...

W bożniej ławce klekotał jakies'  
dwie panienki — przypominały mi się  
Łoska i Mary, a wraz z nimi wszystko...  
Kawosze i wśródnie wraca się z fałszą przy-  
pomnień wszystko, aż do najdrobniejszych  
szeregów...

Przemięty bezpowrotnie  
młotowania jasne dni...

Dzisiaj dusza je przerywa

Dzisiaj dusza o nich śni... —

Yasku — Yasku!.. Pisząc te słowa  
— przechodzę pewnie te same uczucia,  
które we mnie wrę, klebię się, burzę —

- jak wnętrze wulkanu...

Nie chce nawet myśleć, że tydzień temu przysięgam sobie - wyrzec się serdecznego kochania, że tydzień temu usiłowałem zdeptać w sobie uczucie - które zdawna pielkowała we mnie... Nie pomogły rozmowy i gruntowne wysiłki nad wyrobieniem charakteru!... Wszystko przeszło! ---

Takbym chciał wolać na nią drogiem imieniem - patrzeć w te oczwielbione bramy!.. Cierat wielki przegniata duszę - a rzucić go niesposob.

"I jam z tej samej ulepionej gliny... Twoje słowa... Pamiętaj je dobrze --- Niezdar widzę cię, patrzysz na mnie i mówisz tylko wagami powyższe słowa.

A potem budzę się z żalem myślę...

"Taka nasza służba dla Ojczyzny... Chcieliśmy pracować dla niej --- chcieliśmy z drogi ---

(c. d. n)

Śmiech...

## Hejcie pędra szkolne dni!

Hejcie pędra szkolne dni  
Szybko mija nudny czas  
Boi wesolo zawsze mi  
Boi jest przeciwni banda nas.  
-Ledwom sobie sprawę zdać,  
Głędym jeden pasek miał!?

Dzis' juwi noszę stolych trzy  
Leż wrystkie rucę je  
Zobacrylic przeciwni wy  
W inną skórę wcielę się!  
Edam maturę -- leżcie czas,  
Ze ja pójde z panną w las.

Oby przyszła ona juwi,  
Do juwi ciępkie biorę mię,  
Bo co' robić? co' no co'?  
Głędym wrystko umie się?  
Dla rozrywki w bilardzie gram...  
Gdy pieniądze drobne mam!!

Wnet matury przyjdzie czas!  
 A gdy chlubnie tonę ja! --  
 cich! to beanie klawy czas! --  
 Będę miał kochankę swą!...  
 A belfer ukloni się,  
 Bo z frajerką ujrzy mię. --

2.) Z prądem.

Napisat St. G. H. ...

W parę godzin później Janek zgar-  
 biony przy toparce pracował przy Dubielu.  
 Inaczej przedstawiała mu się ko-  
 palnia w domu - inaczej w samym jej  
 wnętrzu. Już w połowie drogi z prochybia  
 oświetlenie elektryczne skończyło się, a scia-  
 ny i sklepienia murowane zastąpiły drewn-  
 iane stęple, szeregiem sięgnęły się  
 w chodnikach. Pomiedzy stęplami widniały  
 sciany czerwonego węgla; tu i ówdzie ze  
 scian sączyła się woda - tu i ówdzie z głu-  
 bym trzeskiem stoczył się okruch skalny.  
 Pognięte w niektórych miejscach stęple,  
 parostę były gryzbami i pleśnią, podłoga

utożona z kilku desek, przywata w woodzie  
 błotnistej, środkiem położone były na niej  
 szyny. Co jakiś czas chodniki były zamy-  
 kane „tamami” - to jest bramami, stwó-  
 zemi do regulowania powietrza w ko-  
 palni w razie wybuchu garów.

Lampki, które mieli ze sobą Janek  
 i Dubiel sławaty bardzo mało światła  
 i trzeba było sporo czasu, nim Janek na-  
 uczył się przy nim rozpoznawać poszczególne  
 przedmioty. Młode ptwca Janek buntowały  
 się na gwałtowny ucisk garów, kopciu  
 i dymu prochowego. Teraz z trudnością  
 rozprostowywał plecy zgarbione przy  
 pracy, nie przestał jednak myśleć.

Od chwili, kiedy dowiedział się od  
 ojca o przyjęciu do pracy, zaplanowała w jego  
 naturze jakaś gorączkowa dątkość, jakiś  
 dorywcy, trędkie przed napręd. Przygotowania  
 do nowego zajęcia, jakkolwiek niewielkie -  
 wytręciły nie tylko Janek z równowagi.  
 W domu Baburdów wszyscy byli w ruchu.  
 Matka z gorliwością, własną kobietom  
 jej stanu, zajęta się wyszukaniem i przy-  
 gotowaniem odpowiedniego ubrania dla syna  
 i na spieszko zerwała go i Tata. Ojciec z  
 Jankiem udali się do pobliskiego  
 miasteczka w celu zakupu lampy,

banki blaszanej - do kawy i wielu innych, niezbędnych przedmiotów dla młodszego gośnika. Kupno musiało być zastawione Janis, materiał miał być dobry, co jedno z drugim dość trudno było pogodzić; wreszcie po długich targach i chodzeniach od sklepu do sklepu udało im się to uskutecznić.

Po powrocie do domu zastali matkę Janka - całą we łzach przy stataniu ubrania syna. Biedna kobiecina nie mogła się jeszcze pogodzić z porzuceniem, widzi i ona matryla o czym innym dla syna. Zaburda ofuknął ją za „maranie się” - sam jednak wyszedł zatak pod jakimś porzurem do alkiera i też uronił kilka łez, a następnie utarłszy je rękawem, nie dał porwać po sobie, że płakał i silił się nawet na weselosć. -

Ytak już prawie do wieczora, matka przy pracy - ojciec skrycie ronił łzy nad porzuceniem swego i syna. -

Z drugiej strony Janek czuł w sobie spokój zupełny, ani jeden muskult jego twarzy nie drgnął porzuceniem - natomiast wszystko co go otaczało, zdawało mu się, że się spieszy i sam i sam porwany tym wiru przygotowania skończył

przedk. Teraz znów nie mógł się do nekca' chwili, kiedy się uda na kopalnię. Ojciec dawał mu wskazówki do kogo ma się udać i jak się ma zachować. Janek jednym ustem raledwie słuchał uwag ojca, myślami był w kopalni. Gdy nareszcie po długich przekiwaniach nadeszła godzina wyjścia, szybko się ubrał i błogosławiony na drogę przez rodziców udał się wesoło do pracy. Tu wrazenia nie miały granic! Tut w uszach szum, na okoto kryki, nawoływania, śmiechy, gwizd pary, żęki maszyn; a wszystko to chaotycznie wpadało do mózgu wytwarzając odurzające uczucie w całym jego ciele. Dopiero w sztolniku Dubiela cokolwiek ułtonał; z zimną już kwią wykonywał wskazaną mu robotę. Pradrował długo, bez odprocyunku choć nut, jak ręce powoli opadły mu pod naciskiem pracy, nie rwał jej, z podwojną gorliwością brał się do niej. Z Dubielem nie rozmawiał wcale. Ten stary górnik pomury — z obojętnością zupełną wieścił w ścianie (drancy) otwory, aby je potem rozsądzić prochem.

Gdy nadeszła ta chwila, Dubiel

karat Jankowi cofnąć się w głąb chod-  
ników, sam zaś miał się rzącać podpra-  
laniem lontu. Postuszony jego woli, Janek  
wyszedł patrząc z dala. Dubiel pozostał.  
Przy minie i zaledwie w ostatniej chwili  
przyleciał do Janka, zdysrany. Crekaja...

Wtem wzdłui skąd, stępli, złomów  
błysnęło jasne światło. Głuchy huk  
wstrząsnął powietrzem, a echo jego długo  
i daleko będnęło po ciemnych chodnikach.

Chwila wybuchu wbiła się Jankowi  
w pamięć.

Poczekawszy nim kurz opadł  
w chodniku - weszli tam znowu i jui  
do końca dniówki Janek nie odrywał  
się od Topaty. —

Gdy wrócił do domu, zmęczone  
wrażeniami i pracą - zaledwie coś zjadł,  
leż spać.

Długi czas majaczyły mu się martwe  
postacie, niedawno poznane twarze, sy-  
gnące się skaty, a huk gromów wstrząsał  
młodym jego mózgiem.

### III.

Następne dni plynęły Jankowi  
podobnie - a to tylko różniąc, że coraz

więcej ręce mu grubiały, ruchy stawały się ociężałe, niegrabne.

Po miesiącu był to już pracownik zhabartowany, tylko cera różowa straciła swój dawny kolor, a oczy stoczyły się ciemną obudówką. Praca górnicza nie zna dnia i nocy - tygodni górnicy pracują w nocy, tygodni w dzień. Tak się stoczyły okoliczności, że Janek pracując w tej samej kopalni co i ojciec - pracował wtedy, kiedy ojciec wyprocywał w domu - tym sposobem zawsze w domu był tylko jeden z nich. A ponieważ stary Łaburda za karidem odejściem syna pochmurniał i nie mógł sobie znaleźć miejsca, ale z czasem pogodził się z koniecznością.

Janek dostawszy się do kopalni, w obyciu domowym zmienił się nie do poznania. Dawniej wesóły, zabawiał i rozweselał (radziósł) starą matkę swoją osobą i nawet pochmurne oblicze ojca rozjaśniało się czasem - dzisiaj ledwo wchodził z pracy - zaraz kładł się spać. Powtarzało się to co dzień. Dni te pływały przedko Jankowi - powoli starym Łaburdom.

Jedynie niedziela różniła się

cokolwiek. Wtedy wszyscy troje, ojciec,  
 syn i matka, ubierali się czysto i szli  
 razem do kościoła; wracając spotykali  
 swoich znajomych i już na cały dzień  
 ryzykiwali pogodnie, wierząc w dobrą  
 przyszłość umysły. Wtedy ojciec rozchmu-  
 rzał czoło i opowiadał dawne swoje dzie-  
 je, dzieje szczęśliwej swej młodości. Przy  
 tych opowiadaniach, często kilka łez  
 spadało mu na wąsy, lub nadawało  
 blasku, świecącym się przez nie do przysz-  
 łości, śród.

Janek słuchał tych opowiadań  
 i serce mu rosoło do tych cudnych lasów  
 tajemniczych, śpiewających tysiącami  
 ptasząt, do tych niw złotych, kołyszących  
 się na niezliczonych obręczach ziemi-  
 matki, do tych chatek schludnych,  
 świeżących białością ścian, do tych  
 wspaniałych cudów, które widział stu-  
 chając opowiadania. Wówczas jego oczy,  
 karłowate smutne, zdołały się chciwymi wysko-  
 rzyć z ciekawości, całą jestestwo jego  
 porzucało się, goręć, w te strony kocha-  
 ne, drżało na samą myśl o pobycie  
 w tych cudnych miejscach. Zdawało  
 mu się, że ta chata ojców, naderżca dróż  
 Drog wie do kogo, jest mu tak droga,

ie z chęcią dąłby życie za jej posiadanie. - Utrwał w tedy w sobie tę wielką miłość dla kraju, dla tej ziemi, z której żyli ojcowie, dziady i pradziady od wieków. - Prawdziwa polska wieś przedstawiała mu się w tak przonętych barwach, że po każdym opowiadaniu ojca, nie mógł się uspokoić z myślami o niej. Zdawało mu się wówczas, że jego praca górnicza, to kaidany, któremi przykuty jest do tych miejsc, przeklętych przez niego i nie może się oderwać, aby rozwięzać skrydła i lecieć do swoich, wymarzonek. -

Miesiąc pracy przeleciał Yankowi, jak błyskawica i nadszedł wreszcie dzień, w którym miał strzyc swój pierwszy zarobek kopalniarski. Dzień ten jest dobre znany mieszkańcom osad fabrycznych kopalni Dąbrowskiego, pod nazwą niemiecką "Geldtagu". Ma on swój szczególny charakter, będący niesmak w sercach ludzi poważnie myślących.

Oto od rana, na placu, przed kopalnią pojawia się mnóstwo przekupniów z kramnikami, na których rozkładają swoje w najwyższym stopniu tandeciarskie

wyroby. Są to przeważnie siodła, który  
dobre wiedzą, kiedy i gdzie oszukać można,  
naszych statowierczych wresztą robotników.  
Jest to coś w rodzaju kasadeki na pieniądze dre-  
zarobione z trudem przez cały miesiąc.  
Wiadomo dobre, jak trudno przez się  
jest kupieniu jakiegoś drobiazgu, gdy się  
ma złytek pieniędzy i gdy gwałtem o to  
proszą. To też wielu bardzo zatarło po wy-  
płatce idzie na ten jarmark i szuka się  
w obowiązku kupić tam coś, na przykład  
stary, wreszcie odprasowany kotłowyk,  
kapelusz, lub części ubrania zrobione  
na jedną miarę ze złeżatego materiału.  
Do nie tylko sprzedaje się tu cukierki, za-  
bawki, spinki i krawaty, można dostać  
i grubsze wyroby, jak torba, buty i ubra-  
nia.

Na i swoją komercyjną stronę taki  
jarmark dla górników. Oto dzieci, szczególnie  
wyrastki, uwijają się w znacznej ilości  
i pitają figle kramikarom przez „sięg-  
nięcie” słodyczy, lub czego innego. Gdy się  
zbliza czas „smigusu”, obchodzonego tu  
z wielką skrupulatnością i dokładnością,  
kramikarze sprowadzają na jarmark  
w wielkiej ilości spryca dość dużych  
rozmiarów, pryncem kupujący wyprobo-

wywują je na miejscu, oblewając się wzajemnie wodą czystą z rowów i nieczekając samego śmigusu.

Wszystkie traktyernie i wogóle zakłady nie antyalkoholierne, mają w tym dniu zarwycraj niebywały odbył. Dalewają się tu strapienia, troski i smartwienia, oblewają się wesole nowiny i przyjań przy kieliszku i pocieszyciele przybiera niebywale rozmiary. Niestety do rana. Po gdy wódka uderzywszy na dobre do głowy, nęsto w kłótni pokazują się nawet wie i wesole koniery się wtedy padkami.

Do późnej nocy widać się indywidualna po ulicach, idące cokolwiek zawstyżonym krokiem i przechodzące z boku na bok, jakgdyby zaganiały rozbiegające się gęsi po drodze; tu i ówdzie w rowach przy płotach spoczywają rżarne postacie po pracy w kopalni i w traktyerniach...

Wierorem jarmarku góltagowy oświecony lampami, dość oryginalnie się przedstawia. Tłumy ludzi z gwarem krążą wykupując reszki niewystre-danych towarów. Wreszcie rowar ubywa kramików i światła, a dzień wypłaty koniery się snem pracowników za pracę miesięczną.

Janek ubrał się tego dnia jak w niedzielę i udał się w wesółym jak szczygi i hums-

nie na kopalnię.

- Kiedy zgarbiał ze stołu statniczego swój karobek, serce biło mu mocno, a ręce trzęsły się jak w febrze. Lawiną je w wreszcie, skrył na pieci-  
siach i nie oglądając się na twarogoy, rzucających  
go do szynku, frzadko pobiegł do domu.

Pierwszy gelbtag napetniał go rozkoszą.  
Te pieniądze, które można przyciskać do piersi,  
tak skromne zresztą, napawały go dziecięcą radością.

Grybysy do domu, rozłożył je na stole  
i radowawoy matkę, pokazał z dumą:..

- Si tyle!.. - a jak się sivię!..

Matka popatryła na pieniądze nowiutkie,  
jakby z pod stępla, potem na syna i w jej oczach,  
sivych, materynych, zabłyśta tra radości.

Gdy wrócił stary kabusola, dosypał swój  
karobek i Janek robarywsy netai tyle pieniędzy -  
- patrył na nie z podziwem.

Tego dnia Janek nie mógł zasnąć wie-  
czem i późno w nocy słyszał pijane, ochryple  
głosy kolegów, śpiewające przy akompaniamencie  
harmonijki jakąś driką piosenkę. -

(C. d. n.)